

Od autora: Mogę śmiało powiedzieć: historia prawdziwa

Nie cierpię zimy. Bo czapeczki.

Trzeba toto wciskać na głowę i udawać, że jest fajnie. Nie jest! Każdą, by spełniła swoje przeznaczenie, należy wsunąć na czoło i uszy, co kompletnie rujnuje proporcje twarzy, za to doskonale uwypukla wszelkie mankamenty, a czasem wręcz przysparza głupkowatego wyglądu. Mnie tak właśnie robi. Na dodatek biedne, uklepane włosy męczą się pod nią i matowieją ze smutku. Masakra.

Od dzieciństwa nie cierpiałam czapeczek i głośnym wrzaskiem stawiałam opór, gdy matka wciskała mi na głowę kolorowo-włóczkowe coś, najczęściej z imponującym pomponem. Źle to świadczyło o moim sprycie - albo, jak kto woli - dobrze o posłuszeństwie, bo nigdy nie wpadło mi do głowy, by poza zasięgiem wzroku rodzica ściągnąć szkaradzieństwo, więc posłusznie czapy nosiłam, choć pompon ciążył ku tyłowi, a wiązanie niemiłosiernie piło pod brodą.

Jako nastolatka zezwalałam nakryciom głowy na pobyt czasowy w szkolnym plecaku i uważałam, że to całkiem przyzwoity, a przede wszystkim bardzo dojrzały kompromis. Jakby kto pytał, czapkę miałam, co prawda przy, a nie na sobie, ale jaka to różnica, grunt, że w bezpośredniej bliskości. Zmechacona, pełna paproszków pozbieranych z dna plecaka pojawiała się na mojej głowie jedynie w ekstremalnych warunkach pogodowych i uważałam, że to powinno jej wystarczyć.

Potem dorosłam i już nikt nie mógł mi niczego nakazać, a szczególnie w kwestii czapeczek. Upojona prawem do samostanowienia, późną jesienią śmigałam z odkrytą głową, radując się wiatrem tańczącym we włosach, co upewniało mnie w przekonaniu, że mam w sobie coś z dzikiego zwierza, który własne futro tyleż sumiennie pielęgnuje, co i wietrzy.

I tak mi w zasadzie pozostało do dziś.

W zasadzie, bo im człowiek starszy, tym częściej komfort cieplny stawia ponad wygląd, więc moje czapki nie mają już macochy, wstydliwie chowającej niekochane dzieci przed światem, ale mamę. Przyznaję, trochę chłodną emocjonalnie, za to traktującą je zupełnie przyzwoicie - zamiast w ciemnej czeluści torebki mieszkają wygodnie na półce, nad zimowymi okryciami, otoczone przyjaznym blaskiem energooszczędnej żarówki, wolne od okruszków i paprochów. Nadal niezbyt często wychodzą na zewnątrz, ale wyglądają na szczęśliwe.

A dziś sprawiłam przyjemność czarnemu berecikowi.

Nie tyle z sympatii do niego, ile z powodu przeziębienia. Kicham i prychem na potęgę, za nic nie chcę

bardziej, a wyjść muszę, co oznacza, że bez nakrycia głowy się nie obejdzie. Klasyczny, czarny berecik długo mościł się na mojej głowie, zanim znalazł wygodną pozycję. Dałam mu do towarzystwa grafitowy szal ozdobiony beżowymi kwiatami z welny czesankowej i ruszyliśmy w drogę. Niedaleko, bo raptem do sklepu.

Na ulicy jak zwykle - żywego ducha, z wyjątkiem rudego kota, od dawna mającego wszystkich w głębokim poważaniu, oraz mnie, żałośnie pociągającej nosem.

Mijam przycupnięte za ogrodzeniami domy: te, należące do bliskich oraz dalszych sąsiadów. Ani jednych, ani drugich nigdy nie miałam przyjemności poznać, mimo że mieszkam tu blisko od czterech lat. Dziwne teraz czasy - niby ludzi wokół pełno, ale ich nie widać. Za to można do woli obserwować poranny i wieczorny rytuał transportowy. Ranki wypełnione są trzaskiem drzwi samochodowych i metalicznym szumem automatycznych bram, wypuszczających w świat rozespiane auta. Popołudniami jest podobnie, tylko wszystko odbywa się z drugiej strony bramy, a samochody są zmęczone. Gdzie ludzie? Nie wiem. Transport od drzwi, do drzwi jest sterylny osobopoznawczo - nie da rady potknąć się o sąsiada.

Atak kaszlu dopada mnie tuż za rogiem, więc wtykam twarz w szal, żeby zarazków nie rozsiewać. Oddech z rodzaju bezsensownych, bo dookoła otwarta przestrzeń i mała szansa, że bakterie zdążą się do kogoś przykleić. Zresztą, do kogo? A może po prostu wyłazi ze mnie dziki zwierz, który wobec świata chce ukryć własną niedyspozycję? Ma co ukrywać, bo świecek stają w oczach i jak nic, jestem czerwona niczym piwonia. A niech sobie będą! W końcu kto mnie tu, na pustej ulicy, widzi?

- Dzień dobry! - słyszę wyraźny głos.

Do mnie to?!

Na pewno do mnie?

Widzę kobietę, wysiadającą z samochodu zaparkowanego na podjeździe przypominającego mały dworek, domu.

Cholera, do mnie!

- Dzień dobry - odpowiadam uprzejmie i w popłochu zastanawiam się, czy powinnam znać babeczkę. Odczuwam dziwną potrzebę usprawiedliwienia własnej niewiedzy, więc szybko dodaję: - Przepraszam, przeziębienie mnie dopadło i przez ten katar świata nie widzę.

- To dlatego, że nigdy nie nosi pani czapki! Dziś prawie pani nie poznałam.

Próbuję błyskawicznie przetrwać, co usłyszałam.

Ona - dziś - mnie - nie - poznała.

Inaczej mówiąc, zazwyczaj widzi mnie i rozpoznaje, tylko nie dziś, właśnie z powodu czapki, której podobno nigdy nie mam, a teraz tak. No proszę, jak to w tym anonimowym świecie brak czapeczki z miejsca predestynuje do stanu rozpoznawalności!

Przyglądam się kobiecie - na oko ze trzydzieści parę lat, wysoka, w eleganckim płaszczyku i rzecz jasna, czapeczce. Czarnej, z cienkiej dzianiny, jakby uszytej dla tej właśnie twarzy.

Bezskutecznie staram się odgonić myśl, że wyglądam jak kurdupłowaty borowik obok smukłej kani. Jestem niemal pewna, że zawadiacko ułożony beret samowolnie zmienił pozycję i rozpląszczył się na kształt naleśnika. Jestem pewna, że ten naleśnik wyrasta wprost z moich barków, a szal z grubą kurtką tworzą dlań pękata i niezgrabną nogę.

Kania za to prezentuje typ ludzi, którzy mogą nosić na głowie, co chcą, bez najmniejszego uszczerbku dla urody. Dozgonnie.

- Ja panią zawsze z gołą głową widzę i czasem aż dreszcz mnie przebiega - mówi głosem, w którym, nie powiem, pobrzmiwają sympatyczne tony. - Czapkę trzeba nosić, bo organizm szybko traci ciepło, a większość ucieka właśnie wtedy. - Palcem wskazującym kreśli niewidoczną aureolę wokół głowy.

- Tak... - mamroczę, próbując zachować ton luźnej pogawędki. - Podobno nawet siedemdziesiąt procent.

- Zgadza się! - Kiwa głową z zadowoleniem, niczym nauczyciel, który usłyszał prawidłową odpowiedź. - I dlatego trzeba pamiętać o czapkach - tłumaczy jak dziecku.

Ja przecież nie zapominam!

Powinnam natychmiast wyjaśnić Kani, że może i wyglądam jak pękaty borowik, lecz żadna ze mnie sklerotyczka, tylko dziki zwierz, szczęśliwy, gdy czuje wiatr w futrze i takie tam... Ale jakoś brak mi odwagi. Przyglądam się, jak otwiera bramę, a potem wraca do samochodu i zajmuje miejsce za kierownicą. Zamiast perorować o własnej dzikiej naturze, mówię z rezygnacją:

- Racja, trzeba.

Uśmiecha się. Powiedziałaabym, że promiennie.

- A pani tak ładnie w nakryciach głowy! Naprawdę! - rzuca jeszcze przez uchylone drzwi.

Ani słowu nie wierzę, ale reaguję szybko i z uśmiechem, czyli prawidłowo:

- Dziękuję i... do zobaczenia!

Macha ręką zza szyby, potem rusza.

Oscyluję między zdumieniem, a niepokojem.

Oto dowiedziałam się, że moja czapeczka jest istotna dla sąsiadów, nie tylko obecnie, ale była również w przeszłości, ukrytej w słowie "nigdy". Czy to znaczy, że Kania obdarza mnie uwagą, ilekroć pętam się po ulicy, gdy mój leciwy pekińczyk szuka dogodnego do wiadomo czego, miejsca? Jeśli tak, zapewne mówi

wtedy do męża:

- Zobacz, sąsiadka znów bez czapki chodzi, przeiębi się (prawda!) biedaczka...

I wtedy już nie tylko ona, ale i mąż wie, że ta baba z wiecznie gołą głową, to ja, więc przestaję być dla nich przezroczysta, zmieniając się w żywą istotę.

Kod etykietalny nadaje mi status beczapkowości, ale pies z kulawą nogą nigdy się nie dowie, że to przez drzemającego we mnie, nieznoszącego ograniczeń, zwierza.

O ile, rzecz jasna, nie zapyta, ale kto dziś ma czas dociekać "dlaczego"?

Smutno mi z tą myślą i najchętniej dałabym od niej drapaka, więc zaczynam kombinować: może tu nie o żadne etykiety chodzi, tylko zwyczajnie, Bóg, zasmucony widokiem mojego czerwonego nosa, zmęczony słuchaniem odgłosów pokasywania i smarkania, poirytowany długoletnim oporem przed zdrowym rozsądkiem, zapragnął, bym w końcu się opamiętała.

I w swojej dobroci, zamiast wprost kopnąć mnie w zadek, przysłał Anioła.

Takiego Anioła od Czapeczek.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 22.12.2017 09:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.